

Biedermeierowskie świadectwo zarazy – *Granit* Adalberta Stiftera

Aneta Mazur
Uniwersytet Opolski
ORCID: 0000-0002-8850-3571

The Biedermeier Testimony to Epidemic – *Granite* by Adalbert Stifter (1805–1868)

Abstract: The following article is an introduction to the Adalbert Stifter's short story entitled *Granite* in Polish translation. The article explains the political and cultural origin of the work, its poetical form, its ethical and philosophical meaning. The *Granite*, included in the short story collection (*Colorful Stones*, 1853) is considered to be an important declaration of Biedermeier movement in Austria, its aesthetic as well as its ethic tradition, manifest of which was so-called „Gentle Law” (*das sanfte Gesetz*), i.e. an ordered existence harmony and an unspectacular, daily practising the humanism in the personal, country and social life. In Stifter's piece it concerns also an extraordinary case of the epidemic, which did plagued the Bohemian countryside in the 18th century. The story plot being based on local oral tradition, presents how adult's and children's characters react the hazards and challenges they must confront during the illness. Playing with several allusions (such as biblical, philosophical, scientific, legendary ones) the *Granite* concludes with two distinctive thesis: the only way to survive the plague is acting with human dignity and altruistically; the survive means an irrational and paradoxical experience. The „epidemic” motive – due to historical fact, at the same time the figure of a catastrophe, of a test, of an initiation into dark rules of history and nature as well – is sophisticatedly articulated, using different text construction, plot and narrative levels or implied meanings of the work (the titel motive of „granite”, a motive of volcanic catastrophe, plays a role in all of them). There is a kind of misterious interpretative ambiguity in Adalbert Stifter's work till now – *Granite* is to understand as a Biedermeier idyll; as an evidence of author's world view; as a documented case of the epidemic in Boccaccio style; as a parable about humanity at the crucial moment of the life; and, finally, as a short story masterpiece.

Keywords: Adalbert Stifter, *Granite*, epidemic, the plague, Gentle Law, short story, *Colorful Stones*

Słowa kluczowe: Adalbert Stifter, *Granit*, epidemia, dżuma, Sanfte Gesetz, nowela, *Kolorowe kamienie*

Fragment poświęcony zarazie, a właściwie historii, która wydarzyła się w XVIII stuleciu podczas jednej z grasujących w Europie epidemii dżumy, stanowi ledwie trzecią część noweli napisanej w latach 1847–1852 przez klasyka austriackiego biedermeieru, Adalberta Stiftera (1805–1868). Wątku tego jednak nie da się wypreparować z utworu, podobnie jak samego dzieła nie można rozważać bez kontekstu cyklu, w którym się znalazł – wszystkie bowiem składały się na przemyślaną, spójną i nierozzerwalną całość.

Cykl *Kolorowe kamienie* (*Bunte Steine*, 1853) stanowił, wespół z opowiadaniem powstałymi w latach czterdziestych, podstawę popularności i sławy autora. Zaspokajał wszystkie zapotrzebowania i gusta ówczesnych odbiorców, ustanawiając klasyczny model literatury biedermeieru rozpiętej między tradycją (romantyzmu) i nowoczesnością (realizmu), na który złożyły się: tematyka zwyczajnego, codziennego życia i jego uroków, kult prywatności i lokalności, zwłaszcza kameralnego życia rodzinnego, moralno-dydaktyczne, wyraziste wzorce etyczne, liryczna emocjonalność tonowana umiarkowaniem i praktycznym rozsądkiem, malowniczość scenerii i elementy sensacyjnej przygody, symbioza wiedzy naukowej i wiary w Opatrzność, wreszcie tonacja łagodnej melancholii, zabarwionej niekiedy lekkim sceptycyzmem. Sześć nowel cyklu otrzymało kształt ostateczny po roku 1848 i dramatyczne wypadki wiedeńskiej Wiosny Ludów odcisnęły na nich wyraźne piętno. Zdetonowany radykalizmem rewolucji autor z entuzjasty-demokraty stał się obrońcą tradycyjnego ładu, doszedłszy do wniosku, że społeczeństwo i ludzka natura jako taka nie dojrzały do odpowiedzialnego korzystania z wolności. Swoje powołanie pisarskie łączył od tej pory z misją pedagogiczną: niezbędne jest etyczne, staranne kształtowanie charakterów, szczególnie młodych pokoleń. Im właśnie dedykował *Kolorowe kamienie*, a opatrzył je słynną *Przedmową*, która przez dziesięciolecia stanowiła nie tylko ważne dziedzictwo epoki, lecz estetyczną i filozoficzną kwintesencję kultury austriackiej, rodzaj jej tożsamościowego manifestu. Głosiła apologię zwyczajnego i równocześnie heroicznego życia, którego wielkość polega na umiarze, samokontroli, altruizmie i pogodnym wypełnianiu obowiązków, czyli na realizacji „łagodnego prawa” (*das sanfte Gesetz*) – choć niepozorne i słabo widoczne, stanowi ono fundament trwania gatunku ludzkiego i świata w ogóle, obowiązując tak powszechnie jak siły pola grawitacyjnego czy elektromagnetycznego. „Wielkie” nie są zjawiska podniosłe i hałaśliwe (jak rewolucja i wszelkie katastrofy), lecz „małe” i zwyczajne (jak praktykowanie miłości i życzliwości w kontaktach międzyludzkich)¹.

Każda z sześciu nowel cyklu opowiada historię jakiejś spektakularnej katastrofy w przyrodzie lub/i ludzkim życiu (epidemia, gwałtowna burza z wylaniem rzeki, obfita śnieżycy i zbłądzenie w górach, pożar, gradobicie, rozpad rodziny i patologie zdrowotne, wojna) – przeciwstawiając jej nieefektywny, „łagodny” rytm codzienności i wzrastania, dzięki któremu

¹ Zob. A. Mazur, *Anatomia „łagodnego prawa” – między literaturą a filozofią*, „Przegląd Filozoficzno-Literacki” 2009, nr 2.

wszystkie szkody mogą zostać uleczone, zabliznione i przewycięzione. Onomastyka tytułu całości oraz poszczególnych utworów (*Granit, Wapień, Turmalin, Kryształ górski, Mika, Kreda*), odwołująca się do dziecięcej kolekcji barwnych kamyków, tworzy w istocie wyrafinowaną grę semantycznych, fabularnych i symbolicznych relacji. Konotuje nie tylko gwałtowne, ale też długotrwałe i niewidoczne procesy geologiczne wyłaniające skalne formacje czy minerały – czyli figurę *Bildungsweg*, formowania i dojrzewania ludzkiego życia na drodze „łagodnej” ewolucji, przechodzącej do porządku dziennego nad katastroficznymi epizodami.

W otwierającym cykl *Granicie* elementarna siła natury objawia się jako śmiertcionośna epidemia i tę „elementarność” dobrze konotuje onomastyka minerału; granit to jedna z fundamentalnych skał głębinowych. Utwór jest swoistą opowieścią archeologiczną, cofającą się na kilku poziomach w przeszłość: biografii narratora (który wspomina epizod ze swego dzieciństwa), okolicy (gawęda dziadka przybliży wnukowi lokalne dzieje, podania i topografię) oraz losów pewnej rodziny (która ma bezpośredni związek z epidemią oraz z pierwszoplanowym epizodem fabularnym). Większą część tekstu wypełnia gawęda dziadka stanowiąca kolejne ogniwo w długiej sztafecie pokoleń przekazujących sobie mroczną opowieść o zarazie sprzed stulecia (prawdopodobnie z roku 1713), jaka wtargnęła także do wiejskiego ustronia. O wielkiej katastrofie, obejmującej rozległe rejony i liczne wspólnoty, dziadek opowiada wnukowi z powodu drobnego zdarzenia, które w życiu małego chłopca urasta do rangi traumatycznego, szokującego doświadczenia: dziecko pozwala psotnemu smolarzowi wysmarować sobie nogi oleistym smarem, czym naraża się na gniew matki i dotkliwą karę. Ramowa konstrukcja utworu i „nadzwyczajne” wydarzenie z przeszłości, o jakim opowiada senior rodziny, odsyłają, w sposób formalny i merytoryczny, do początków noweli: *Dekameron* Boccaccia również stosuje podwójną perspektywę i konstrukcję ramową w kontekście epidemii², choć zaraza pojawia się tam na planie pierwszym. W *Granicie* Stiftera mamy symetryczne przebiegi wydarzeń na trzech płaszczyznach i w trzech perspektywach: tak jak kolejne lata i generacje zdołały zabliznić ślady po śmiertcionośnej epidemii – tak jak w gawędzie dziadka szczęśliwie zakończyły się perypetie dzieci osieroconych przez wymarłe na dzumę rodziny i pozostawionych własnemu losowi – tak samo pomyślnie kończy się feralny dzień w życiu małego chłopca (o czym świadczą finalne obrazy: uspokojenie jaskółek w gnieździe i matczyne błogosławieństwo przed snem).

Na pierwszy rzut oka nowela może wydawać się dość niespójnym połączeniem idyllicznego, dziecięcego wspomnienia oraz tchnącej grozą historii zarazy, kary i pokuty³. W istocie kontrapunkt katastrof przebiegających na

² Zob. M. Mayer, *Adalbert Stifter. Erzählen als Erkennen*, Stuttgart 2001, s. 119.

³ Zob. F. Martini, *Adalbert Stifter, w: Deutsche Literatur im bürgerlichen Realismus 1848–1898*, Stuttgart 1981, s. 518.

kilku płaszczyznach fabularnych służy wzmocnieniu przesłania związanego z „łagodnym prawem” – gwarantem przewyciężenia nieszczęścia są tylko spokojne, monotonne mikrowydarzenia i gesty: powolna rekonwalescencja dziewczynki, długa podróż powrotna dzieci z ostępów leśnych w zamieszkałe okolice, stateczna i monotonna wędrówka dziadka z wnukiem, która przemienia się w rodzaj perypatetycznego wykładu. Spoiwem wątków jest fonetyczna i wizualna asocjacja dżumy (niem. *Pest*), „czarnej śmierci”, z czernią odzieży smolarza i smoły (niem. *Pechbrenner* i *Pech*), które odgrywają „pechową” rolę w przygodzie dziecięcego narratora. Tak spełnia się rola tytułowego kamienia opisanego na początku tekstu: jest on niemym świadkiem historii i nieprzypadkowym miejscem naznaczenia chłopca smolistą ciecżą, co wywoła całą lawinę wypadków i przyniesie dziecku wtajemniczenie w wymiar nieszczęścia. Granitowy blok koresponduje także ze skałą, która staje się scenariem traumatycznych wypadków w opowieści dziadka (w pierwotnej wersji utworu); symbolizuje „nie tylko siłę i trwałość naturalnych oraz społecznych procesów – ale także trudną do zapomnienia groźbę tego, co człowiek potrafi wyrządzić bliźniemu”⁴.

Oczywiście cała historia nie służy tylko wychowawczym celom autora. Zawiera wiele sugestywnych migawek i realiów odtwarzających fenomen epidemii uchwyconej w aspektach medycznych, obyczajowych, społecznych, psychologicznych czy religijnych: rozmiary i dynamikę choroby, jej objawy i przebieg, ciekawsze i drastyczniejsze przypadki, naturalistyczną groźbę agonii, rozkładających się ciał i masowych pochówków (lub ich zaniechania), różne przejawy rozprzężenia społecznego i obyczajowego, ludzką bezradność, ludzkie zabobony – i ludzką niepamięć po latach. Wzmiankom o zwyczajowych formach upamiętnienia ofiar zarazy towarzyszy surowe *memento* wytykające późniejszym pokoleniom zaniedbanie i lekceważenie śladów pamięci po nieszczęśliwie zmarłych przodkach. A majestatyczne, monotonne wyliczanie elementów pejzażu, w którym poruszają się wędrujący wnuk z dziadkiem, katalogowanie miejscowości, które były świadkami wspomnianych wydarzeń, przypominają swoiste *credo*, wypowiedziane ustami chłopca, i nadają narracji specyficzny, tak typowy dla Stiftera, „rytm litanii”⁵.

W samym centrum noweli stoi jednak jeszcze coś ważniejszego niż ilustracja „łagodnego prawa” czy dokumentacja reliktywów lokalnej przeszłości: model ludzkiego zachowania i jednostkowej reakcji wobec zagrożenia. Wymarcie całej rodziny małego chłopca (który stanowi *pendent* do dziecięcego *alter ego* pierwszoosobowego narratora) to paradoksalna, w istocie opatrnościowa konsekwencja panicznej ucieczki przed chorobą i samo-

⁴ „[...] not only the strength and permanence of natural and social processes – but also the unforgettable horror of what one human can do to another” (M. i E. Swales, *Adalbert Stifter. A critical Study*, Cambridge 1984, s. 154). Wszystkie przekłady cytatów obcojęzycznych – A. M.

⁵ Zob. tamże, s. 148.

lubnej izolacji od ludzi. Mityczno-fatalistyczna i ewangeliczna stylizacja są nie do przecoczenia. Przezorny ojciec rodziny, który czyni wszystko, by się ocalić, znajduje jednak śmierć tam, gdzie spodziewał się ocalenia, jest trochę jak Edyp ufnie zdążający ku zgubie, trochę jak Hiob niepojmujący spadającej nań „kary”, a trochę jak podróżny omijający rannego z Jerycha. Rola miłosiernego Samarytanina przypada natomiast jego synkowi, obdarzonemu biblijnym imieniem Józef, którego dziecięca natura kieruje się bezinteresowną i spontaniczną dobrocią. W pierwotnej wersji tekstu (tzw. *Journalfassung*, pierwodruk w „*Vergißmeinnicht. Tachenbuch*”, Leipzig 1848) kontrast między ojcem a synem był uwypuklony do granic melodramatycznej makabreski. Smolarz najpierw odpędzał zabłąkaną w lesie rodzinę uchodźców, po czym wymierzał okrutną karę chłopcu – który udzieliwszy po kryjomu pomocy przybyszom, być może przyczynił się do zachorowań wśród swoich⁶ – skazując go na śmierć głodową na stromym cyplu skalnym. Wymierają wszyscy oprócz ocalałej przy życiu pary dzieci: córeczki przybyszy i synka smolarza, niczym nowych Adama i Ewy rozpoczynających życie po epidemii. W pierwszej wersji noweli dziewczynka ocala chłopca przy pomocy jeszcze jednej, niewinnej i nieskażonej samolubstwem istoty, niedorozwiniętego parobka smolarza. Wersja druga łagodzi ekscentryczne perypetie, zachowując historię ocalenia i zmieniając jej przebieg – to odumarły przez wszystkich chłopiec ratuje dziewczynkę, którą napotyka chorą i nieprzytomną w lesie, opiekując się nią i czuwając przy niej aż do wyzdrowienia. W obu wersjach jednak przetrwanie epidemii wiąże się z wybraństwem ocalałych i z wymownym przesłaniem⁷.

Sceny pobytu dzieci w lesie oraz ich powrót z leśnej głuszy do siedzib ludzkich, szczegółowo opisane w ostatecznej redakcji utworu, należą do mistrzowskich obrazków Stiftera-malarza i zawierają głębszy kontekst światopoglądowy, który można nazwać postromantycznym lub premodernistycznym: natura jest ambiwalentna, ma demoniczną moc destrukcji (zaraza) i życiodajną siłę odrodzenia; natura daleka od cywilizacji to świat czysty, piękny i doskonale obojętny wobec człowieka i jego słabości. Altruistyczne zachowanie małego bohatera z opowieści dziadka uczy jego wnuka dwóch rzeczy: zapomnienia o własnym nieszczęściu w momencie uzyskania wiedzy o autentycznej tragedii oraz przebaczenia, darowania winy mimo-wolnemu sprawcy nieszczęścia, którym był prosty smolarz wywodzący się z rodziny spokrewnionej z nieszczęśliwie wymarłą rodziną chłopca sprzed wieku. *Granit* może być odczytywany jako „historia inicjacji w przezwyciężenie śmierci”⁸, lekcja socjalizacji oraz nauka aprobaty dla niejednoznacznej

⁶ Motyw ten pozostaje niejasny: „rodzina smolarza, która uciekła nad leśne jezioro, zapada na dżumę bez wyraźnie widocznej przyczyny” (P. Schoenborn, *Adalbert Stifter. Sein Leben und Werk*, Tübingen 1992, s. 376).

⁷ „Das Überleben der Pest den Charakter einer Auswahl und Aussage hat” (M. Mayer, dz. cyt., s. 121).

⁸ „Eine Initiationsgeschichte in die Bewältigung des Todes” (M. Mayer, dz. cyt., s. 121).

roli czynnika przyrody w ludzkim życiu. Można w nim także widzieć świadectwo pesymizmu autora, obraz „fatalnego splątania dziejów ludzkich z historią naturalną”⁹, albo „skromną, sielską wersję teodycei w myśl idealistycznej historiozofii XVIII i XIX wieku”¹⁰.

Realia topograficzne *Granitu* to mała ojczyzna Stiftera: rejon Szumawy w Lesie Czeskim, okolice rodzinnej wioski Horní Planá (Oberplan) nad Wełtawą w pobliżu miejscowości Frymburk (Friedberg) w południowych Czechach. Lesista i górzysta kraina na pograniczu czesko-austriacko-bawarskim, w czasach dzieciństwa pisarza pamiętana jako niedawno jeszcze mało ludna i gdzieniegdzie dziewicza, wielokrotnie służyła jako tło fabularne jego opowiadań, często opartych na motywie wędrówki. Prezentowane tutaj podanie bazuje na autentycznych, biograficznych wspomnieniach autora. „Tematem jest prawdziwe zdarzenie z czasu ostatniej epidemii dżumy w południowych Czechach, mój dziadek wielokrotnie o tym opowiadał, kiedy byłem dzieckiem” – ostatniej epidemii z wielu, jakie odnotowały kroniki w tamtych stronach: 1464, 1585, 1680, 1713¹¹. Wobec podwójnej wersji tekstu (*Journalfassung* i *Buchfassung*) nie jest do końca jasne, która z nich ma prezentować owo „prawdziwe zdarzenie”; prawdopodobnie chodzi o historię daremnej ucieczki rodziny smolarza, natomiast wątek przygodowo-romansowy może należeć do *licentia poetica* (największe wątpliwości budzi dydaktyczno-baśniowy happy end¹²). Do historii zarazy pisarz nie powrócił już więcej w swoich utworach, a pełne horroru sceny należą do wyjątkowych w jego klasycyzującej twórczości.

Dorobek nowelisty, choć z obecnej perspektywy konserwatywnie idylliczny, przekroczył granice epoki i jej uwarunkowań, a *Kolorowe kamienie* dawno już nie są „igraszką dla młodych serc”¹³, lecz poważną lekturą dla

⁹ P. Schoenborn, dz. cyt., s. 381. Czytając *Granit* lub niektóre inne nowele cyklu, pisze badacz, „można niekiedy odnieść wrażenie, iż sercem Stifter często przychyła się bardziej ku wąpiącym, cierpiącym, czy ku grozie, niż ku zawsze tak misternie i starannie przez siebie konstruowanemu zakończeniu utworu, prezentującemu postulowaną przez «łagodne prawo», niezmaconą harmonię [Beim Lesen des *Granit* [...] gewinnt man zuweilen den Eindruck, dass Stifter mit seinem Herzen oft mehr auf der Seite der Zweifler, der Leidenden und des Grauens steht als auf der vom *Sanften Gesetz* geforderten und von ihm jeweils auch fein säuberlich konstruierten, ungetrübbte Harmonie vorgebenden Schluss der Erzählungen]” (tamże, s. 388).

¹⁰ „[...] a modest rural version of theodicy in the wake of eighteenth- and nineteenth-century idealistic philosophy of history” (M., E. Swales, dz. cyt., s. 146).

¹¹ „Der Stoff ist eine wirkliche Begebenheit aus der Zeit der letzten Pest im südlichen Böhmen, mein Großvater hat die Sache wiederholt in meiner Kindheit erzählt”. Zob. *Anhang*, w: A. Stifter, *Sämtliche Erzählungen nach den Erstdrucken*, hg. W. Matz, München 2005, s. 1621–1622.

¹² Elementy *konwencji* baśniowych są ewidentne w tej „baśni czeskich lasów, opowiedzianej z poruszającą epicką prostotą [Dieses in anrührenden epischer Schlichtheit nacherzählte Märchen aus den böhmischen Wäldern]” (G. Sichelschmidt, *Adalbert Stifter. Leben und Werk*, München 1988, s. 279).

¹³ Określenie samego autora: „Spielereien für junge Herzen”. Cyt. za: U. Roedel, *Stifter mit Selbstzeugnissen und Bilddokumenten dargestellt*, Reinbek bei Hamburg 1994, s. 107.

dorosłych, która doczekała się dużej liczby interpretacji. To właśnie one sprostowały Thomasa Manna do sformułowania słynnego komentarza: „Stifter to jeden z najdziwniejszych, najpodstępniejszych, skrycie zuchwałych i wspaniale porywających opowiadaczy literatury światowej”¹⁴. Jakkolwiek irytująca może być pozornie naiwna fabuła *Granitu*, zawarty w niej obraz epidemii – zarówno faktu historycznego, jak figury metaforycznej – należy z pewnością do bardziej oryginalnych ujęć w prozie europejskiej.

Adalbert Stifter, *Granit*

[Przekład wersji książkowej (*Buchfassung*) na podstawie: A. Stifter, *Werke und Briefe. Historisch-kritische Gesamtausgabe*, hg. v. Alfred Doppler, Wolfgang Frühwald. Bd. 2,2: *Bunte Steine. Buchfassungen*, hg. v. Helmut Bergner, Stuttgart–Berlin–Köln–Mainz 1982, s. 25–60].

Pod moim domem rodzinnym, tuż przy wejściu, leży wielki ośmiokątny kamień w kształcie wydłużonego sześcianu. Boczne ściany są z surowego ciosu, ale wierzch od częstego siadania stał się delikatny i gładki jak najkunsztowniejsza glazura. Głaz jest tak bardzo stary, że nikt nie pamięta, kiedy go położono. Siadywali na nim najstarsi mieszkańcy naszego domu, jak również ci, co zmarli we wczesnej młodości i śpią na cmentarzu wraz z innymi. O długim wieku kamienia świadczą wydeptane płyty piaskowca u jego podstawy i głębokie otwory, wydrążone w nich przez krople wody w miejscach, gdzie płyty wystają poza okap dachu.

Wśród osób przesiadujących na kamieniu byłem jedną z najmłodszych w rodzinie. Siadywałem na nim chętnie, bo roztaczał się wtedy stamtąd rozległy widok, który później zabudowano. Najwięcej przebywałem tam wczesną wiosną, gdy łagodne promienie słońca coraz bardziej nagrzewały ścianę domu swym ciepłem. Patrzyłem na zaorane, nieobsiane jeszcze pola, gdzie czasem przeleciał sęp lub zamigotało szkło, świecąc niczym ognista iskra, albo spoglądałem na błękitniejący w oddali las, którego zębata linia ciągnęła się pod niebem zsyłającym burze i ulewy; las był tak wysoki, że sądziłem, iż z najwyższego drzewa można sięgnąć tego nieba. Kiedy indziej znów przyglądałem się, jak biegnącą obok domu drogą suną żniwne wozy, przeciągają trzody oraz wędrują domokrażcy.

Letnimi wieczorami na kamieniu chętnie siadywał także dziadek, kurząc swą fajeczkę, a czasami, gdy już dawno spałem albo właśnie zapadałem w sen, łowiąc niewyraźne dźwięki, kamień, drewniane ławeczki i stopy budowlanych desek obsiadało pełno młodych chłopców i dziewcząt, pięknie śpiewając do późna w noc.

Wśród obiektów, które najbardziej przykuwały moją uwagę, znajdował się pewien dziwny mężczyzna. Przybywał od czasu do czasu, nadchodząc

¹⁴ „Stifter ist einer der merkwürdigsten, hintergründigsten, heimlich kühn und wunderlich packendsten Erzähler der Weltliteratur”. Cyt. za: tamże, s. 155.

od strony Hossenreuther¹⁵ i pchając lśniące, czarne taczki, na których stała lśniąca czarna beczułka. Jego ubiór nie był wprawdzie czarny, ale z czasem całkiem ściemniał i również błyszczał. Oświetlony słońcem, wyglądał jak nasmarowany olejem. Spod szerokiego kapelusza spływały na kark długie włosy. Miał brązowe oblicze, przyjazne oczy, a włosy miały ową żółtobiałą barwę, właściwą prostym ludziom ciężkiej pracy. Zbliżając się ku zabudowaniom, zawsze wykrzykiwał coś, czego nie rozumiałem. Na to wołanie wychodzili z domów nasi sąsiedzi, niosąc w rękach naczynia, najczęściej czarne drewniane konwie, i zmierzali w naszą uliczkę. Tymczasem mężczyzna zbliżał się i zajeżdżał taczkami. Stawał, przekręcał kran w zatyczce beczki i do każdego podsukanego zbiornika spływała brązowa, lepka ciecz, w której doskonale rozpoznawałem smar do wozów; dostawał za to pewną ilość grajcarów lub groszy. Gdy było już po wszystkim i ludzie rozchodzili się, poprawiał beczkę, zgarniał przelane resztki i jechał dalej. Przy tej czynności byłem niemal zawsze obecny; nawet gdy nie było mnie na ulicze, gdy nadchodził, słyszałem jego nawoływania równie dobrze jak sąsiedzi i przybywałem na miejsce niechybnie wcześniej od nich.

Pewnego wiosennego dnia, gdy raźnie świecące słońce budziło we wszystkich radość i wesele, znów go ujrzałem, jak nadciąga od Hossenreuther. W pobliżu domostw zawołał po swoim, sąsiedzi przybyli i po otrzymaniu smaru rozeszli się z powrotem. Wówczas, jak zwykle, doprowadził do porządku swoją beczkę. Do zbierania resztek, gromadzących się przy kranie czy obluzowanym czopie na spodnich klepkach beczki, służyła mu długa, wąska i płaska łyżka o krótkim trzonku. Zręcznie wybierała pozostałości cieczy ze szczelin oraz zakamarków i zgarniała po kanciastych krawędziach do otworu szpuntu. Siedziałem cały czas na kamieniu, bacznie go obserwując. Byłem akurat boso i miałem na sobie krótkie spodenki. Nagle spojrzał ku mnie znad swojej roboty i spytał: „A chciałbyś sobie nasmarować stopy?”

Osobliwy mężczyzna był przedmiotem mej admiracji; poczułem się zaszczycony jego poufałością i wyciągnąłem przed siebie obie nogi. Sięgnął chochlą do otworu, zaczerpnął smaru i nakreślił mi na każdej stopie długą krechę. Ciecz pięknie rozlewała się po skórze, miała nadzwyczaj przejrzystą, złotobrazową barwę i wydzielala przyjemny zapach żywicy. Zgodnie ze swoją naturą, rozlewała się z wolna dookoła stóp. Mężczyzna tymczasem dokończył swej roboty, zerkając ku mnie z uśmiechem, po czym wetknął łyżkę w zagłębienie obok beczki, zamknął zatyczkę, nałożył pas tragarzski, dźwignął taczki i odjechał. Zostałem teraz sam, z uczuciem, w którym przyjemność mieszała się z niepewnością. Zapragnąłem pokazać się mamie. Trzymając spodnie ostrożnie podniesione do góry, wszedłem do izby. Była właśnie sobota, a każdej soboty podłogi starannie myto i szorowano; tak było i dzisiaj, bowiem właśnie w soboty przybywał domokrażca ze smarem, pozostając na niedzielę,

¹⁵ Autentyczną onomastykę topograficzną w większości pozostawiam w oryginalnej wersji językowej, nawet jeśli zwyczajowe nazwy są mówiące, np. Jelenie Góry (*Hirschberge*).

aby móc iść do kościoła. Wyszorowane starannie ługiem, wyschnięte włókna drewnianej podłogi bardzo łatwo wchłaniały smar z moich stóp, tak że za każdym krokiem pozostawiałem na podłodze widoczne ślady. Matka siedziała właśnie przy stole pod oknem i szyła. Gdy ujrzała mnie tak wkraczającego do środka i zmierzającego w głąb izby, zerwała się. Przez moment wahała się zaskoczona, czy też z rozmysłem rozglądając się za narzędziem, jakim mogłaby mnie przywitać. Wreszcie z okrzykiem „A cóż znowu przyniósł ten wcielony paskudnik?” pospieszyła mi naprzeciw, złapała, podniosła do góry i wyniosła czym prędzej do sieni, nie zważając na moje przerażenie i swój fartuch. Tam postawiła mnie na ziemi, sięgnęła pod schody, gdzie był jedyny dozwolony skład wszystkich zwłoczonych do domu różeg i gałęzi, i gdzie ja sam w ostatnich dniach zgromadziłem wielką ich ilość, po czym złapawszy w rękę, co jej popadło, tak długo okładała mnie po nogach, aż na różgach, moich spodenkach, jej fartuchu, kamiennej posadzce i wszędzie dookoła było pełno smoły. Wtedy puściła mnie i wróciła do izby.

Wprawdzie od początku całej historii miałem jakieś mętne i niepewne odczucie, ale tak straszliwy obrót rzeczy, prowadzący do poróżnienia z najdroższymi mi w świecie osobami, wprost unicestwił mnie. W jednym z kątów sieni stał wielki kamienny sześcian, na którym przy pomocy drewnianego młota ubijało się przędzę do domowego tkania. Zatoczyłem się tam i opadłem na kamień. Nie mogłem nawet płakać, moje ściśnięte gardło było jak zesnurowane. Słyszałem, jak w środku matka naradza się ze służącą, co zrobić z podłogą, i bałem się, że gdy ślady po smole nie ustąpią, wróci karać mnie dalej.

W tym samym momencie tylnymi drzwiami, wychodzącymi na ogród i studnię, wszedł dziadek i podszedł do mnie. Dziadek był zawsze dobroduszny i gdy spadło na nas, dzieci, jakieś nieszczęście, nigdy nie wypytywał o winę, tylko spieszył z pomocą. Stał i przyjrzał mi się. Gdy pojął mój stan, zapytał, jak do tego doszło. Odczułem ulgę i chciałem mu powiedzieć, ale nie mogłem, pod jego dobrotliwym, życzliwym spojrzeniem łzy, które dotąd nie chciały płynąć, wytrysnęły nagle gwałtownym strumieniem i zanosząc się od płaczu, wydając porwane i zdławione dźwięki, mogłem jedynie unieść w górę nóżki, na których obok smoły widniała brzydka czerwien otrzymanych razów.

On jednak powiedział z uśmiechem: „Choć ze mną”.

Wziął mnie za rękę, łagodnie ściągnął z kamienia i powiodł, ledwie mogącego z przejęcia za nim podążyć, z powrotem przez sień na podwórze. Wokół zabudowań biegnie tam szeroki chodnik, brukowany kamieniami, gdzie pod okapem stoją stołki i inne siedziska, aby przy różnych zajęciach, jak na przykład czesanie lnu, móc przysiąść w czas niepogody pod osłoną dachu. Podprowadził mnie do takiego stołka i rzekł: „Siadaj i poczekaj tu, zaraz wrócę”.

Po tych słowach wszedł do domu i po chwili był z powrotem, niosąc w rękach wielką, zielono emaliowaną misę, garnek z wodą, mydło i ręcz-

nik. Postawił to na chodniku, ściągnął ze mnie spodenki, odrzucił na bok, nalał do miski ciepłej wody, wstawił do niej moje nogi i tak długo zmywał wodą i mydłem, aż w misie pojawiła się góra białobrazowej, plamistej piany, a smar, jako że był jeszcze świeży, całkowicie zeszedł i na skórze nie pozostało ani śladu smoły. Potem wytarł stopy ręcznikiem i spytał: „Czy teraz już dobrze?”

Ciężar spadał mi stopniowo z serca, niemal śmiałem się wśród łez, już tylko pojedynczo napływających do oczu. Następnie przyniósł i założył mi inne spodenki. Wreszcie suchym końcem ręcznika obtarł moją zapłakaną twarz i rzekł: „Teraz przejdź przez podwórze i wyjdź bramą wyjazdową na ulicę, tak żeby nikt cię nie spostrzegł i żebyś nikomu nie wpadł w ręce. Tam poczekaj na mnie, przyniosę ci inne ubranie i sam się też nieco przebiorę. Idę dzisiaj do Melm, możesz iść ze mną i opowiesz mi, jak doszło do tego nieszczęścia i skąd wzięłeś ten smar. Rzeczy zostawimy tutaj, ktoś je sprzątnie”.

Z tymi słowy pchnął mnie w kierunku wyjścia, a sam wrócił do domu. Przeszedłem cicho przez podwórze i przemknąłem się przy wjeździe. Na ulicy dla bezpieczeństwa ominąłem z daleka wielki blok kamienny i wejście, ustawiając się w miejscu, gdzie z odległości mogłem widzieć przez drzwi wnętrze domu. Na miejscu, gdzie wymierzono mi karę, uwijały się dwie służące, które klęcząc na posadzce, przesuwwały po niej rękoma tam i z powrotem. Prawdopodobnie usiłowały zmyć ślady smoły, jakie powstały w trakcie wymierzania mi kary. Przy drzwiach krążyła jaskółka, ciągle wlatując i wylatując, ponieważ dzisiaj pod jej gniazdem był ustawiczny ruch, najpierw kiedy mnie karano, teraz przez krzątanie się dziewczyn. Na końcu uliczki, daleko od naszych drzwi wejściowych, tam, gdzie zbocze, na którym stoi nasz dom, spada ku drodze, leżało parę ściętych pni drzew. Usiadłem na nich i czekałem.

W końcu dziadek wyszedł. Na głowie miał szeroki kapelusz, ubrany był w długi surdut, jaki zwykł przywdziewać w niedzielę, a w rękę dzierżył laskę. W drugiej niósł moją kurteczkę w niebieskie paski, białe pończochy, czarne sznurowane buciki i szary filcowy kapelusik. Pomógł mi to wszystko przywdziać i rzekł: „No, teraz idziemy”.

Wąską dróżką pośród zieleni naszych pagórków doszliśmy do drogi i między zalanymi wiosennym słońcem domostwami sąsiadów, którzy nas pozdrawiali, zeszliliśmy dalej w dół na otwartą przestrzeń. Rozciągały się tutaj pola i zieleniejące pięknie błonia, a jasne, przyjazne światło słońca ogarniało cały świat. Podążyliśmy białą drogą skroś zielonych łąk. Mój ból i smutek ulatniał się, bo wiedziałem, że sprawa ani chybi weźmie dobry obrót, skoro wdał się w nią jako obrońca dziadek; świeże powietrze i blask słońca działały kojąco, przyjemnie było czuć kurteczkę na ramionach i buciki na nogach, a we włosach łagodne powiewy wiatru.

Kiedy szliśmy łąką – jak zwykle, gdy dziadek brał mnie ze sobą, to znaczy on skracając swoje długie kroki, a ja drepcząc przy nim, jako że było to dla mnie ciągle jeszcze za szybko – powiedział: „Teraz powiedz mi wreszcie,

co się stało i jak wpadłeś w tak wielką ilość smaru, że nie tylko całe twoje nogi i spodenki są w smole, ale plama smoły jest w sieni, smołą powalane są dookoła różgi i w całym domu, gdziekolwiek by nie wejść, można się natknąć na plamy smaru. Powiedziałem już twojej matce, że idziesz ze mną i nie musisz się martwić, nie spotka cię żadna kara”.

Opowiedziałem mu więc, jak siedziałem na kamieniu, jak nadszedł domokrażca ze smarem, jak spytał mnie, czy chcę mieć nasmarowane stopy, jak podstawiłem mu je i jak nakreślił mi na nich ślady, jak poszedłem do domu pokazać je matce, jak skoczyła i jak mnie porwała, zaniósła do sieni, wysmagała moimi własnymi różgami, i jak zostałem po tym, siedząc na kamieniu.

„Błazenek z ciebie”, powiedział dziadek, „a stary Andreas to sprytna szelma, zawsze to wyprawiał i teraz zapewne jeszcze ciągle skrycie zaśmiewa się z własnego pomysłu. To by cię usprawiedliwiało. Ale widzisz, i stary Andreas, jakkolwiek źle może wyglądać w naszych oczach, nie zawinił tak bardzo, jak myślimy; bo skąd znowu ma wiedzieć, że smar dla ludzi może być straszną rzeczą i wyrządzać w domu tak wielki nieład; dla niego jest to po prostu towar, z którym ma ciągle do czynienia, który go żywi, którego obdarza miłością i w który się ciągle zaopatruje na nowo, gdy mu go zabraknie. I jak może coś wiedzieć o umytych podłogach, skoro rok w rok, gdy pada deszcz i gdy słońce świeci, przebywa ze swoją beczką w drodze, a po nocach i przy święcie sypia w jakiejś stodole i na swoim ubraniu nosi przyklepione słomę albo kłosa. Także twoja matka nie była w błędzie; musiała pomyśleć, że lekkomyślnie nasmarowałaś sobie sam nogi tak wielką ilością smaru i umyślnie wszedłeś do izby zawalać dokładnie umytą podłogę. Ale poczekaj, sama to zrozumie i wszystko będzie dobrze. Jak dojdziemy do owego wzniesienia, skąd wokół roztacza się rozległy widok, opowiem ci pewną historię o takich smolarzach jak stary Andreas, która wydarzyła się na długo przedtem, zanim się urodziłeś, i zobaczysz, jakie niezwykle bywają losy ludzi na tym bożym świecie. A jak będziesz wystarczająco silny i dasz radę, pozwolę ci pójść ze sobą w przyszłym tygodniu do Spitzenberg i w góry Hirschberge, i tam po drodze w Fichtengrunde zobaczysz smolarnię, gdzie sporządzają smar i skąd bierze swój zapas stary Andreas, a zatem skąd pochodzi smoła, którą nasmarowano ci dzisiaj stopy”.

„Tak, dziadku”, powiedziałem, „na pewno dam radę”.

„To dobrze”, odparł, „pójdziesz”.

Z tymi słowy dotarliśmy do murka z luźnych, niespojonych kamieni, poza którym ciągnęła się zielona łąka z wydeptaną jasną dróżką. Dziadek przekroczył go, przeciągając za sobą surdut i laskę, po czym pomógł mi, jako że byłem zbyt mały; po czym poszliśmy ścieżką dalej. Mniej więcej pośrodku łąki zatrzymał się i wskazał na miejsce, gdzie spod płaskiego kamienia wytryskiwała z ziemi czysta krynica i płynęła po murawie.

„To źródło Behringer”, powiedział, „ma najlepszą wodę w całej okolicy, wyjąwszy cudowną wodę ocembrowaną na Brunnbergu, obok Łaskawej

Kaplicy Dobrej Wody. Wielu czerpie z tego źródła wodę, pracujący w polu przychodzą tutaj z daleka, żeby się napić, nawet chorzy z odległych okolic przysyłają dzbany, aby sprowadzić sobie stąd wodę. Zapamiętaj sobie to źródło”.

„Dobrze, dziadku”, odparłem.

Ruszyliśmy dalej. Szliśmy ścieżką przez łąkę, szliśmy między polami drogą pod górę, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie ziemię pokrywała krótka, szarawa murawa, na której z rzadka rozrzucone stały pojedyncze sosny.

„Miejsce, przez które teraz idziemy”, rzekł dziadek, „zwie się Dürrschnäbel¹⁶, ta dziwaczna nazwa pochodzi bądź od wyschłego jałowego gruntu, bądź od mizernego zielska, które masami porosło tutaj podłoże, a jego kwiaty mają białe dzióbki z żółtym językiem w środku. A te potężne sosny – widzisz, przypadają one w udziale mieszkańcom Oberplan, każdemu według należnej płatności – mają igły nie w dwóch rzędach, lecz w pękach, szorstkich zielonych kiściach, mają też lepkie żywiczne drewno, żółtą smołę, rzucają skąpy cień, a przy najlżejszym tchnieniu wiatru szmerzą cicho i łagodnie”.

Gdy przeszliśmy jeszcze kawałek, mogłem potwierdzić słuszność tego, co mówił dziadek. Widziałem mnóstwo białozółtych kwiatków na ziemi, widziałem szarą trawę, na niektórych pniach widziałem smołę niczym złote krople, widziałem niezliczone pęki igieł na niezliczonych gałęziach, osadzone w drobnutkich ciemnych kiściach, i słyszałem, choć nie czuć było żadnego powiewu powietrza, lekki szmer igliwia.

Wędrowaliśmy dalej i droga stała się dość stroma.

Wysoko już, na przestronnym miejscu, dziadek stanął i powiedział: „No, tutaj się trochę zatrzymamy”.

Odwrócił się, a gdy nieco odsapnęliśmy po wspinaczce, podniósł łaskę i wskazując odległy, potężny grzbiet lasu w stronie, z której przyszliśmy, zapytał: „Wiesz, co tam jest?”

„Tak, dziadku”, odparłem, „tam jest hala, na której latem przebywają stada bydła, spędzane z powrotem jesienią”.

„A dalej na wprost zbocza, co to jest?”, pytał znowu.

„To las Hüttenwald”, odpowiedziałem.

„A na prawo od hali i lasu?”

„To góra Philippgeorgberg”.

„A na prawo od niej?”

„To las Seewald, gdzie znajduje się ciemne i głębokie jezioro Seewasser”.

„A dalej na prawo od lasu?”

„Góra Blockenstein i las Sesselwald”.

„I jeszcze na prawo?”

„Las Tussetwald”.

„I dalej już nie wiesz; znajduje się tam jeszcze parę leśnych grzbietów, z których każdy ma własną nazwę, ciągną się one na wiele mil w głąb kraju.

¹⁶ Suche Dzioby.

Niegdyś lasy były o wiele większe niż teraz. Gdy byłem chłopcem, sięgały po górę Spitzenberg i do pierwszych zabudowań Stiftshäuser, żyły w nich jeszcze wilki, a nocami leżąc w łózkach słyszeliśmy w porze godowej ryki jeleni. O tam, widzisz słup dymu, który wzbija się z Hüttenwaldu?”

„Tak, dziadku, widzę”.

„I dalej w głębi następny, z lasu na hali?”

„Tak, dziadku”.

„I jeszcze jeden, na skłonie Philippgeorgbergu?”

„Widzę, dziadku”.

„A daleko z tyłu w kotlinie jeziora, które ledwie widać, jeszcze jeden, tak słaby jak błękitny obłoczek?”

„Też, dziadku”.

„Widzisz, te wszystkie słupy dymu pochodzą od ludzi, którzy pracują w lesie. Najpierw są to ci, którzy ścinają drzewo, pozostawiając same pniaki i krzaczaste zarośla. Rozpalają ognisko, by zgotować przy nim strawę, a także spalić niepotrzebne gałęzie i chrust. Potem są to węglarze, którzy wznoszą olbrzymie mielerze, przykrywają je ziemią i gałęzmi, i z drew wypalają węgiel drzewny, który potem w wielkich worach wiozą obok naszego domu w odległą stronę, gdzie nie ma żadnego opału. Inni znów zbierają siano, kosząc je na małych polanach i odkrytych miejscach lasu albo ścinając sierpem między kamieniami. I ci rozpalają ogniska, aby przy nich gotować, albo by dymem odpędzać nękające bydło muchy. Następnie są to poszukiwacze huby, roślin leczniczych, owoców i przeróżnych innych rzeczy, oni także rozniecają ogień w czasie odpoczynku. Wreszcie, są to smolarze, którzy z leśnej darni budują piece albo zasklepiają gliną jamy, a obok wnoszą swoje drewniane szałas, mieszkają w nich i wytapiają w tych paleniskach smar do wozów, smołę, terpentynę i inne oleje. Jeśli ukazuje się bardzo wątła nitka dymu, może to być jakiś myśliwy, który smaży sobie kawałek ryby albo wypoczywa. Wszyscy ci ludzie nie mają żadnego stałego miejsca w lesie; są to tu, to tam, w zależności od tego, gdzie znajdują robotę albo gdzie ją kończą. Stąd i słupy dymów nie wiążą się z żadnym konkretnym miejscem, dziś widzisz je tutaj, kiedy indziej znów w innym miejscu”.

„Tak, dziadku”.

„Takie jest życie lasu. Ale popatrzmy i na dalsze okolice. Potrafisz mi powiedzieć, co to za białe budynki, które widać przez ten podwójny pień sosny?”

„Tak, dziadku, to Pranhöfe”.

„A dalej na lewo?”

„To jest góra Glöckelberg”.

„A naprzeciwko nas tutaj nad wodą?”

„To Hammermühle i gospodarstwo Davida”.

„A te domy całkiem blisko nas, spomiędzy których wystaje kościół, a za nimi widnieje góra, gdzie stoi jeszcze jeden kościółek?”

„Ależ dziadku, to nasze miasteczko Oberplan, a kościółek na górze to przecież Kościółek Dobrej Wody”.

„Gdyby nie było gór i wzniesień dookoła nas, widziałbyś jeszcze więcej domów i miejscowości: Karlshöfe, Stuben, Schwarzbach, Langenbruck, Melm, Honnetschlag, a po przeciwnej stronie Pichlern, Pernek, Salnau i wiele innych. Zobaczysz kiedyś, jak wre w nich życie, jak nocą i dniem wielu ludzi trzusi się tam, zdobywając chleb i zażywając takich samych radości, jakie znamy i u nas. Pokazałem ci te wszystkie lasy i miejscowości, ponieważ rozegrała się w nich historia, którą obiecałem opowiedzieć. Ale chodźmy, by rychlej dojść do celu, będę mówił podczas drogi”.

Dziadek odwrócił się i wspierając szpic swej laski na skąpej darni ruszył dalej, prawiąc: „Tutaj w tych lasach rozegrały się niegdyś dziwne wypadki i spadło na te miejsca wielkie nieszczęście. Mój dziadek, a twój prapradziadek, który żył podówczas, często nam o tym opowiadał. Pewnej wiosny, jak tylko ukazały się na drzewach pączki i opadły płatki kwiatów, dotarła w te strony ciężka choroba i wybuchła w miejscowościach, które widziałeś, w miejscach, których z powodu gór widzieć nie mogłeś, a nawet w lasach, które mi pokazywałeś. Wcześniej grasowała w odległych stronach, zbierając tam niewiarygodnie duże żniwo ofiar. Nagle wtargnęła do nas. Nie wiadomo, jak się zjawiała: czy przywieźli ją ludzie, czy przybyła z łagodniejszym powietrzem wiosny, czy też przyniosły ją wiatry i deszczowe chmury: dość, że przyszła, rozszerzając się wszędzie dookoła. Po drogach, na których leżały jeszcze białe płatki kwiatów, wieziono umarłych, a w izdebkach, do których zaglądał liść wiosenny, leżeli chorzy, pielęgowani też przez chorujących. Epidemii zwano dżumą, zdrowy umierał w przeciągu pięciu, sześciu godzin, a ci, którzy wyzdrowieli, byli ani zdrowi, ani chorzy i nie nadawali się już do pracy. Wcześniej opowiadano sobie nieraz zimowymi wieczorami, jak to po dalekich krajach chodzi pewna choroba, na którą ludzie wymierają jak skazańcy; ale nikt nie przypuszczał, że przyjdzie w nasze lasy, bo nigdy jeszcze, zanim nie przyszła, nic obcego do nas nie przyszło. Zaraza wybuchła najpierw w Ratschlägerhäusern i od razu umarli wszyscy, którzy zachorowali. Wieść rozniosła się po okolicy, ludzie przerazili się i wpadli w popłoch. Niektórzy wyczekiwali, czy epidemia sięgnie dalej, inni uciekali i spotykali chorobę tam, dokąd się udali. Już po paru dniach wieziono chować zmarłych na cmentarz w Oberplan, niedługo potem zwożono ich także z bliższych i odleglejszych wsi i z samego miasteczka. Niemal po całych dniach słychać było pogrzebowe dzwony, nie sposób było dzwonić za pojedynczych umarłych, dzwoniono więc naraz za wszystkich. Wkrótce też nie było już miejsca na cmentarzu, więc wykopywano wielkie doły po polach, składano tam zmarłych i zasypywano ziemią. Były domy, w których nie unosił się żaden dym z komina, były takie, z których dochodził ryk bydła, bo zapomniało je nakarmić, woły błąkały się zdziczałe, bo nie było nikogo, kto by je zaprowadził do obory. Dzieci nie kochały już własnych rodziców, a rodzice dzieci, wrzucano tylko umarłych do dołu i odchodzono. Zaczerniewiły się dojrzałe wiśnie, ale nikt na to nie zważał i nikt ich nie zrywał, dojrzewały zboża, ale nie zwożono ich tak starannie jak zazwyczaj, ba, niektóre

w ogóle nie zostałyby zwiezione do domu, gdyby nie litościwi mężczyźni, którzy pomagali przy żniwach chłopcu czy staruszcze, samotnie ostałym na gospodarstwach. Pewnej niedzieli, gdy proboszcz w Oberplan wszedł na ambonę wygłosić kazanie, razem z nim w kościele było siedem osób; reszta wymarła, chorowała lub pielęgnowała chorych, albo też w rozterce czy zapamiętaniu nie przyszła. Gdy to spostrzeżono, podniósł się głośny płacz, proboszcz nie był w stanie nic powiedzieć, odprawił tylko cichą mszę i wszyscy się rozeszli. Kiedy choroba sięgnęła zenitu, kiedy ludzie nie wiedzieli już, czy pomocy mają szukać w niebie, czy na ziemi, zdarzyło się, że pewien wieśniak podążył z gospodarstwa Amischhause w Meln do miasta Oberplan. Na potrójnej sośnie zauważył siedzącego ptaka, który śpiewał:

Gdy zjecie gencjanę i anyżek,
Wstaniecie, rychło nie umrzecie.
Gdy zjecie gencjanę i anyżek,
Wstaniecie, rychło nie umrzecie.

Chłop uciekł, pobiegł do proboszcza Oberplan i powtórzył mu te słowa, a proboszcz przekazał je ludziom. Ci zrobili tak, jak zaśpiewał ptaszek, i choroba zaczęła z wolna ustępować, słabła coraz bardziej, a nim pojawiły się ścierniska po owsach i nim dojrzały brązowe orzechy na leszczynach, ustała całkowicie. Nastąpiły znowu normalne i zażyłe stosunki pomiędzy ludźmi, z wiosek wzbijały się w górę dymy, palono pościel i rzeczy pozostałe po chorych, bo choroba była bardzo zaraźliwa, wiele domów na nowo malowano i szorowano; ponownie zabrzmiały przyjazne dźwięki dzwonów kościelnych, wzywających na modlitwę i świąteczne nabożeństwa”.

W tym momencie, jakby przywołany słowami dziadka, zabrzmiał wysoko, jasno i czysto głęboki ton wielkiego dzwonu z wieży w Oberplan, a jego dźwięki dotarły aż pod sosny.

„Słyszysz”, rzekł dziadek, „już czwarta godzina i dzwonią na jutrzejsze święto; widzisz, dziecko, te usta dzwonu niemal przemawiają jak słowa, że wszędzie tutaj znowu jest dobrze, szczęśliwie i spokojnie”.

Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy w dół na kościół. Jego ceglany dach i ciemne wieże, z których dobiegało bicie dzwonu, pięły się w górę, a wokół nich, niczym stado gołębi, tłoczyły się szare domy.

„To przedświąteczny wieczór”, odezwał się dziadek, „musimy zmówić krótką modlitwę”.

Zdjął z głowy kapelusz, uczynił znak krzyża i zaczął się modlić. Ja również ściągnąłem mój kapelusik i także odmawiałem modlitwę. Gdy skończyliśmy, przeżegnaliśmy się i nałożyliśmy na powrót nasze nakrycia głowy, dziadek powiedział: „To piękny obyczaj, sobotnim popołudniem dzwon daje znak, że oto rozpoczyna się wigilia święta i że powinno ustać wszystko, co doczesne; ja po południu w sobotę nie podejmuję żadnych poważniejszych prac, najwyżej wybieram się do sąsiednich wsi. Zwyczaj pochodzi jeszcze z czasów, gdy mieszkali tutaj poganie, dla których wszystkie dni były jednakowe i którzy po nawróceniu potrzebowali wyraźnego

znaku, że nadchodzi dzień święta Pana. Niegdyś bardzo przestrzegano tego; gdy odzywał się wieczorny dzwon, ludzie modlili się i przerywali cięższe prace w domu i w polu. Twoja babka jako młoda dziewczyna zawsze klękała przy dźwiękach dzwonu i odmawiała krótki pacierz. Jeśli wówczas sobotnim wieczorem, podobnie jak dziś, szedłem do Glöckelberg, skąd babka pochodzi, często widziałem ją, jak w czerwonym kaftaniku i śnieżnobiałej spódniczce klęczy przy dźwiękach wiejskiej sygnaturki, a kwiaty w ogródku były równie białe i czerwone jak jej ubranie”.

„Dziadku, ona jeszcze teraz, gdy dzwonią, modli się w alkwie przy błękitnej skrzyni w czerwone kwiaty”, powiedziałem.

„Tak, ona to czyni”, odparł, „ale inni ludzie tego nie przestrzegają, dalej zajęci na polu i w izbie, tak jak nasz sąsiad tkacz, u którego odgłosy pracy rozbrzmiewają cały sobotni wieczór, aż zapadnie noc i na niebie pokażą się gwiazdy”.

„Tak, dziadku”.

„Pewnie nie wiesz, że dzwony z Oberplan posiadają najpiękniejszy dźwięk w całej okolicy. Są zestrojone ze sobą jak struny skrzypiec, tworząc pełną harmonię. Dlatego też nie można dodać żadnego więcej, a gdyby któryś dzwon pękł lub zarysował się, przepadłoby całe piękno. Kiedy odwiedziłem twego wuja Simona, gdy raniony na polu bitwy leżał chory, powiedział: «Ojcie, gdybym jeszcze raz tylko mógł usłyszeć głos dzwonów z Oberplan!». Ale nie miał już ich więcej usłyszeć, umarł”.

W tym momencie dzwony umilkły i nad polami stało znów tylko pogodne słoneczne światło.

„Pójdźmy dalej”, rzekł dziadek.

Ruszyliśmy znowu szarą trawą pomiędzy drzewami, od jednego pnia do drugiego. Była zapewne jakaś bardziej wydeptana ścieżka, ale przyjemnie było iść po miękkim podłożu. Tylko obcasy moich trzewików tak się wyślizgały od krótkiej murawy, że ledwo mogłem iść, rozjeżdżając się nogami na wszystkie strony. Gdy dziadek spostrzegł to, powiedział: „Nie powinienes tak ciągnąć stopami; na tej trawie trzeba stawiać od razu pewny i silny krok, inaczej podeszwy się wyślizgają i tracą oparcie. Wszystkiego trzeba się uczyć, nawet chodzenia. Daj rękę, poprowadzę cię”.

Uchwyciłem się dziadka i poszedłem dalej już pewniej.

Po jakimś czasie dziadek wskazał na jedno z drzew, mówiąc: „To jest owa potrójna sosna”.

Wielki pień wznosił się do góry i dźwigał trzy śmigłe drzewa, których konary i gałęzie w górze mieszały się ze sobą. U jego stóp leżało mnóstwo opadłych igieł.

„Nie wiem”, rzekł dziadek, „czy ptak wyśpiewał te słowa, czy też Bóg włożył je w ludzkie serce: ale potrójnej sosny nie wolno ściąć, ani uszkodzić jej pnia i konarów”.

Przyjrzałem się dokładnie drzewu, po czym ruszyliśmy dalej i po pewnym czasie opuściliśmy Dürrschnäbel. Pnie drzew stały się szczuplejsze,

przerzedziły się, aż w końcu całkiem znikły i szliśmy teraz kamienistą drogą pod górę wśród pól, które znów się pokazały. Tutaj dziadek ponownie wskazał jeden pień, mówiąc: „Popatrz, ten mocarny buk jest najpotężniejszym drzewem w okolicy, wzrósł na najbardziej kamienistym podłożu, jakie tylko może być. Dlatego jego drewno jest twarde jak kamień, pień ma krótki, a gęste gałęzie mają zwarte liście w kulistej koronie, przez którą nie prześwituje ani kawałeczek nieba. Gdy nadchodzi zima, ludzie patrzą nie niego i mówią: gdy jesienny wichur zaśwista w suchym listowiu twardego buka i strąci jego liście na ziemię, zima wkrótce nadejdzie. I rzeczywiście, niedługo potem wzgórze i lasy okrywają się białą płachtą śniegu. Zapamiętaj to drzewo i pomyśl, gdy upłynie wiele lat, a mnie już nie będzie, że twój dziadek pokazał ci je pierwszy”.

Od buka podeszliśmy jeszcze kawałek pod górę i wspięliśmy się na grzbiet wzniesienia, z którego odsłoniły się okolice po drugiej stronie, a u stóp ujrzeliśmy tonącą w drzewach wieś Melm.

Dziadek przystanął i wskazując kijem na odległy las powiedział: „Patrz, ten ciemny las tam naprzeciw po prawej to wzniesienie Rindlesberg, za nim leży wieś Rindles, teraz niewidoczna. Dalej w lewo, gdyby nie iglasty las, dostrzegłbyś wielki folwark Alschhof. Podczas zarazy wymarli tam wszyscy prócz jednej służebnej dziewczyny, która musiała doglądać bydła, wielkiej ilości krów, których mleko przerabiano w majątku na sery, a ponadto byków i młodego przychówku jałówek. Przez wiele tygodni karmiła zwierzęta, które przetrwały zdrowe i rześkie, jako że zaraza nie była dla nich groźna, czekając, aż państwo dowiedzą się o wypadkach i przyślą jej kogoś do pomocy spośród ocalałych ludzi. W wielkim młynie Hammerów, który mi pokazywałeś po drodze, również wymarli wszyscy z wyjątkiem jednego garbatego mężczyzny, który musiał podołać całej robocie i załatwiać ludzi zwożących po epidemii do młyna zboże, by dostać swą mąkę; stąd do dzisiaj krąży powiedzenie: „Mam więcej roboty niż garbaty u Hammerów”. Spośród księży w Oberplan przeżył tylko stary proboszcz, dwóch kapłanów zmarło, zmarł także zakrystian, i jego syn, już po prymicjach. Z domów Badhäuser, tworzących kręty zaułek przy targowisku, trzy całkowicie wymarły”.

Gdy przebrzmiały te słowa, zesliśmy wąwozem do Melm, przechodząc pod krzewami, w których zielonym listowiu słońce igrało różnobarwną grą światła.

Dziadek miał sprawę do załatwienia w pierwszym domu na skraju, w gospodarstwie rodziny Macht. Przez wielkie przypory łukowe weszliśmy do środka. Wieśniak Macht stał na podwórzu, ubrany był w koszulę z rękawami i kamizelkę ze spiczastymi metalowymi guzikami. Ujrawszy dziadka, pozdrowił go i wprowadził do izby; mnie posadzono w podwórzu na drewnianej ławeczce koło drzwi i poczęstowano kanapką. Wypoczywając, przypatrywałem się różnym rzeczom: stojącym pod dachem szopy wozom, zasuniętym jeden w drugi, pługom i bronom spiętrzonym dla oszczędności miejsca w jednym miejscu, parobkom i dziewczynom, którzy chodząc

tu i ówdzie krzątali się przy sobotniej robocie i szykowali do niedzielnego święta; wszystko to mieszało mi się z rzeczami, które wypełniały moją głowę: potrójnymi sosnami, zmarłymi, umierającymi oraz śpiewającymi ptakami.

Po jakimś czasie ukazał się dziadek, mówiąc: „No, załatwione, ruszamy z powrotem”.

Wstałem z ławeczki i wyszliśmy odprowadzani przez wieśniaka i jego żonę, którzy pożegnali nas pod bramą, życząc szczęśliwego powrotu.

Gdy byliśmy już sami, przechodząc znowu wąwozem, dziadek podjął opowieść: „Późną jesienią, kiedy dojrzewają brusznice, a nad łęgami ścielą się mgły, zajęto się owym miejscem, gdzie pochowano zmarłych w niepoświęconej ziemi i bez ceremonii. Wielu chodziło i oglądało świeże kopce, inni pragnęli znać imiona tych, co w nich spoczywają, i gdy w Oberplan działała znowu opieka duszpasterska, grunt został należycie poświęcony jako ziemia cmentarna, odprawiono uroczystą mszę pod gołym niebem oraz odmówiono zaniedbane modlitwy i błogosławieństwa. Potem ogrodzono plac i obsypano niegaszonym wapnem. Od tamtej pory pamięć o przeszłości zachowała się w różny sposób. Jak wiesz pewnie, niektóre miejsca naszej okolicy ciągle noszą przezwiska od dżumy, jak na przykład Zadżumiona Łąka, Zadżumiona Droga, Zadżumione Zbocze¹⁷; i gdybyś był starszy, mógłbyś jeszcze pamiętać nieistniejącą już kolumnę, stojącą na placu targowym w Oberplan, na której napisane było, kiedy dżuma przyszła i jak długo trwała, i gdzie widniała modlitwa dziękczynna do Ukrzyżowanego, którego postać stała na szczycie kolumny¹⁸.”

„Babka opowiadała nam o niej”, wtrąciłem.

„Od tego czasu przyszły nowe pokolenia”, mówił dalej, „które nie znają historii i nie szanują przeszłości, znikło ogrodzenie cmentarza, miejsce zarosło trawą. Ludzie łatwo zapominają o starych niedolach, widząc w zdrowiu dobro, które im się od Boga należy i które trwonią w pomyślny czas. Nie zważają na miejsca pochówku umarłych i nazwy z przydomkiem *zadżumione* wypowiadają tak lekko, jak gdyby wypowiadali *głogowe* czy *cisowe*”.

Tymczasem wspięliśmy się wąwozem na przełęcz i teraz lasy, ku którym obracaliśmy się, idąc w tę stronę, mieliśmy przed sobą, a słońce chyliło się nad nimi w wielkim blasku ku zachodowi.

„Gdyby zachodzące słońce nie świeciło nam prosto w oczy”, powiedział dziadek, „tak że wszystko mający w ognistej poświacie, mógłbym ci pokazać miejsce, o którym teraz opowiem i które należy do naszej historii. Jest oddalone o wiele godzin drogi stąd, znajduje się dokładnie naprzeciwko, gdzie teraz opuszcza się słońce; tam dopiero są prawdziwe lasy. W królewskim majestacie wznoszą się jodły i świerki, stoją olchy i klony, buki i inne przeróżne drzewa, a pospólstwo krzewów i gęsty gąszcz zarośli, traw i ziół, kwiatów, jagód i mchów wypełnia przestrzeń między nimi. Z każdej wyniosłości biją

¹⁷ *Pestwiese, Peststeig, Pesthang.*

¹⁸ *Tzw. Pestsäule, „kolumny dżumy”, typowe dla pejzażu monarchii habsburskiej.*

źródła, szumią i szemrzą, opowiadając to, co zwykły opowiadać zawsze, przenikając niczym płynne szkło przez żwir, by połączyć się w strumienie i popłynąć hen, daleko, w inne kraje; w górze śpiewają ptaki, jaśnieją białe obłoki, spadają deszcze, a gdy zapada noc, błyszczą księżyc i wszystko wygląda jak sieć utkana ze srebrnych nici. W lesie znajduje się bardzo ciemne jezioro, za nim szara skalna ściana, która odbija się w jego lustrze, na brzegach jeziora stoją ciemne drzewa, zaglądając w wodę, całe rewiry malin i ożyn tworzą gęste zaskieki. Skalne ściany pokrywa biała masa splątanych, powalonych drzew, z malin wystaje niejeden biały pień, który strzaskany piorunem patrzy na jezioro, wokół jego toni od wieków spoczywają ogromne szare kamienie, a ptaki i dzikie zwierzęta przybywają pić wodę”.

„To jezioro, o którym mówiłem, dziadku”, powiedziałem, „babka opowiadała nam o jego wodach i o dziwnych rybach, i że gdy stoi nad nim biała chmurka, to nadchodzi burza”.

„Gdy stoi nad nim biała chmurka”, podjął dziadek, „to choć niebo jest pogodne, chmur gromadzi się coraz więcej, aż robi się ich cała chmara, odrywa do lasu i nadciąga do nas wraz z burzą, która sprowadza silne ulewy, a często grad. Na skraju tego lasu, wtedy jeszcze gęsto zadrzewionego, choć dzisiaj są tam pola, znajdowała się w czasach zarazy chata smolarzy. Mieszkał w niej mężczyzna, o którym chcę ci opowiedzieć. Mój dziadek jeszcze go znał i mówił, że czasami widać było wznoszący się tam z lasu dym, jaki dzisiaj widziałeś podczas drogi”.

„Tak, dziadku”, potwierdziłem.

„Smolarz ten w czas zarazy chciał ująć przeznaczeniu, jakie Bóg zesłał na ludzi. Umyślił uciec w najwyższe partie lasu, gdzie nie dociera żaden człowiek, nie dolatuje najbliższe ludzkie technienie, gdzie wszystko jest inaczej niż na dole i gdzie mógłby ocalić zdrowie. Jeśli ktoś zechciałby do niego dotrzeć, gotów był raczej zatłuc go kijem niż dopuścić, by podszedł bliżej i przyniósł mu dżumę. Chciał tam przeczekać, aż choroba minie, po czym wróciliby do dawnego życia. Gdy więc czarni taczkarze, którzy pobierali od niego smar, przynieśli wieści, że dżuma wybuchła w przyległych okolicach, zebrał się i uszedł w wysokie lasy. Wspiął się jednak jeszcze dalej niż jezioro, dotarł tam, gdzie las stoi niczym w pierwszym dniu stworzenia, gdzie nie pracował jeszcze żaden człowiek, gdzie jeśli drzewo pada, to tylko strzaskane piorunem lub przetrącone wicherem; wtedy z jego łona strzelają w górę nowe drzewa i zioła, pnąc się ku górze, pomiędzy nimi rosną nieprzejrzaną ilość nietknięte kwiaty i trawy i zioła”.

Podczas gdy dziadek opowiadał, słońce zaszło. Ognista poświata w jednej chwili znikła, czyste bezchmurne niebo zmieniło się w złote tło, jakie widuje się na starych malowidłach, a na nim wyraziście zaznaczył się ciemnoniebieski las.

„Patrzy, dziecko, teraz możemy dostrzec miejsce, o którym mówię”, rzekł dziadek, „dokładnie naprzeciwko, tam gdzie ciemniejsze, błękitne zabarwienie, znajduje się niecka, w której leży jezioro. Nie wiem, czy ją widzisz”.

„Widzę”, powiedziałem, „widzę też lekkie szare pasma, które znaczą skalną ścianę”.

„A to masz wzrok bystrzejszy niż mój”, odparł dziadek, „powiedz teraz oczami w prawo od skały i w górę ku obrzeżu, to właśnie te wielkie, wysokie bory. Ma się tam znajdować skała o nawisach jak kapelusz, która wygląda jak mała narośl na krawędzi lasu”.

„Widzę, dziadku, małą narośl”.

„Nazywa się Hutfels¹⁹ i ciągnie się powyżej jeziora, w lesie, gdzie człowiek niemal nie dociera. Kiedyś jednak nad jeziorem stała już podobno drewniana siedziba. Wzniósł ją rycerz, pan Wittinghausen, jako schronienie dla swych córek podczas wojny szwedzkiej. Jego zamek został wtedy spalony, ruiny jeszcze dziś w kształcie błękitnawej kostki wznoszą się nad lasem Thomaswalde”.

„Znam te ruiny, dziadku”.

„Dom stał za jeziorem, pod osłoną skalnej ściany i pewien stary myśliwy czuwał nad dziewczętami. Dziś po tym nie ma śladu. Od tego jeziora wspiął się smolarz aż do Hutfels i wyszukał sobie korzystne miejsce. Nie był sam, tylko z żoną, dziećmi, braćmi, kuzynami, kumami i służbą, wziął ze sobą także bydło i sprzęty. Zabrał też rozmaite nasiona i zboża, by móc je zasiać w skopanej ziemi i zdobyć zapas na przyszłość. Wzniesiono chaty dla ludzi i zwierząt, zbudowano piece do wypalania i obsiano skopane pola. Brat smolarza, który był z nimi, nie chciał pozostać w lesie i zabrał się z powrotem do domu. Smolarz polecił mu zawiadomić ich, kiedy wybuchnie dżuma. Niech w lesie na Hausbergu w południe rozpali ognisko i niech słup dymu będzie widoczny równo godzinę, po czym niech zgaśnie. Dla pewności powinno się to powtarzać przez trzy dni z rzędu, żeby mieszkańcy lasu rozpoznali znak. Gdy epidemia ustanie, ma ich znowu zawiadomić, że już bezpiecznie mogą wracać. Niech roznieci na Hausbergu słup dymu około południa na godzinę i zagasi go. Niech czyni tak cztery dni z rzędu, ale każdego dnia o godzinę później; po tym szczególnym znaku poznają, że niebezpieczeństwo minęło. Jeśli jednak miałby zachorować, niech zadanie to przekaże jakiemuś przyjacielowi lub krewnemu, a ten z kolei znowu jakiemuś przyjacielowi lub krewnemu, tak by zawsze ktoś rozniecił dym; może spodziewać się za to pewnej zapłaty smolarza. Znasz Hausberg?”

„Tak, dziadku”, odrzekłem, „to czarny szpiczasty las, który wznosi się za Pernek i na szczycie ma bryły skał”.

„Tak”, potwierdził dziadek, „to on. Powiadają, że kiedyś żyło trzech braci: jeden na hali, jeden w Hausbergu i jeden w Thomaswalde. Gdy któremuś zagrażało niebezpieczeństwo, mieli sobie dawać znak, za dnia dymem, w nocy ogniem, by zauważono i pospieszono z pomocą. Nie wiem, czy owi bracia naprawdę żyli. Teraz jednak w lesie mieszkali uciekinierzy i kiedy wybuchła w naszych stronach dżuma, wzbil się około południa z Hausbergu

¹⁹ Kapeluszowa Skała.

słup dymu, trwał godzinę i znikł. Tak było kolejno przez trzy dni i ludzie w lesie wiedzieli, co się stało. – Ale już zimno i rosa pada na trawy, chodź, założę ci kurteczkę, byś nie zmarł, a potem będę opowiadać dalej”.

Podczas opowieści dziadka dotarliśmy do Dürrschnäbel, minęliśmy potrójną sosnę i pod ciemnymi drzewami przybyliśmy po niemal bezbarwnej trawie do pól Oberplan. Dziadek położył swoją laskę na ziemi, pochylił się nade mną, zawinął mi ciaśniej chustkę na szyi, poprawił kamizelkę i zapiął guziki mojej kurtki. Potem dopiął również swój surdut, podniósł laskę i ruszyliśmy dalej.

„Widzisz, drogie dziecko”, ciągnął, „na nic się to wszystko zdało, była to jedynie próba zesłana od Boga. W porze, gdy leśne krzewy okryły się kwieciami, białym i czerwonym, jak to zamyśliła natura, gdy z kwiatów zawiązały się owoce, gdy weszło i wyrosło to, co smolarz zasiał i zasadził w leśnej ziemi, gdy pobielało już ziarno, gdy płatki owsa zawisły na cienutkich nitkach, a kartofle obrodziły niebieskawym kwieciami i zielonymi bulwami: wymarli wszyscy ludzie smolarza, on sam i jego żona, a przy życiu pozostał jeden jedyny mały chłopiec, jego syn. Smolarz z żoną umarli ostatni, a ponieważ żyjący ciągle grzebali zmarłych, oni nie mieli już nikogo po sobie, bo dziecko było za małe, i pozostali tak jak umarli, leżąc w chacie. Chłopiec został teraz sam jeden w przerażającym, ogromnym lesie. Rozpuścił zwierzęta ze stajni, bo nie umiał ich karmić, pomyślał, że same wyżywią się leśną trawą, a potem uciekł z chaty, ponieważ okropnie bał się martwego ojca i martwej matki. Wyszedł na wolną leśną przestrzeń, nigdzie nie było nikogo, wszędzie była tylko śmierć. Gdy klękał wśród kwiatów i krzewów modląc się, gdy płakał z rozpaczą po rodzicach i krewnych, gdy później wstawał – wokół niego były jedynie kwiaty i krzewy, i bydło, które błąkało się wśród lasu, pobrzękując dzwoneczkami. Widzisz, to stało się z chłopcem, który miał może tyle lat co ty. Tylko że smolarze nie są tacy jak ci z miasteczek czy miast, oni są dobrze obeznani ze sprawami natury, dorastają w lesie, potrafią obchodzić się z ogniem, nie lękają się burzy, mają skąpe odzienie, w lecie obywają się bez butów, a na głowie miast kapelusza noszą osmolone włosy. Wieczorem chłopiec wyciągnął z torby hubkę i krzesiwo i sporządził sobie ognisko; bowiem to w piecach smolarza dawno wypaliło się i wygasło. Jak był głodny, wygrzebywał ręką kartofle spod zarośniętej ziemi i piekł je w żarze ogniska. Pił ze źródeł i strumieni. Kiedy indziej poszukiwał wyjścia z lasu. Nie pamiętał już, skąd przyszli. Wychodził na najwyższe miejsca góry, wspinał się na drzewa i wypatrywał, ale widział jedynie las, sam las. Zamierzał iść do coraz wyższych partii lasu, aż dojrzy wreszcie jego kres. Jadł także żytnie i jęczmieńne ziarna, które prażył razem z kłosami na kamieniu, spalając plewy i łuski, albo wyłuskiwał surowe ziarna zbóż, albo obierał kapustę rosnącą na grządkach. Nocami zagrzebywał się w liściach i gałęziach, przykrywając chrustem. Rozpuszczone zwierzęta zbiegły albo zbłąkały się w lesie, albo też uciekły spłoszone zmarłymi w chacie; nie słyszał już ich dzwoneczków i więcej ich nie zobaczył. Pewnego dnia, gdy poszukiwał

bydła, na wzgórzu pokrytym kamieniami i krzakami, w środku jeżynowych chaszczki, odkrył leżącą małą dziewczynkę. Chłopcu zabiło gwałtownie serce, podszedł bliżej, dziewczynka żyła, ale była chora i leżała nieprzytomna. Podszedł jeszcze bliżej, dziewczynka miała białą sukienkę i czarny płaszczyk, splecione włosy i leżała tak bezwładnie w gęstwinie, jak gdyby została w nią wrzucona. Zawołał, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi, ujął rękę dziewczynki, ale ręka nie chwytala i była jak martwa. Zbiegł w dolinę, starym kapeluszem, jaki zabrał ze sobą z chaty, zaczerpnął wody, poniósł do dziewczynki i zwilżył jej wargi. Powtarzał to kilkukrotnie. Nie wiedział, co by mogło pomóc dziecku, a nawet gdyby wiedział, nie miał niczego, żeby mu dać. Ponieważ nie było łatwo dojść do dziewczynki przez splecione chaszczki, w których leżała, brał teraz duże kamienie i kładł na płótych się pędach jeżyn, powtarzał to tak długo, aż zostały przygięte w dół i pokryte chodnikiem z kamieni. Na tym chodniku ukląkł, przesunął dziecko, przyjrawszy mu się, poprawił mu włosy i ponieważ nie miał żadnego grzebyka, rękoma wygładził mokre loki, tak że znów przypominały piękne, delikatne ludzkie włosy. Ponieważ nie mógł unieść dziewczynki, aby przenieść ją w lepsze miejsce, biegał na pagórek, rwał tam suchą trawę, zrywał źdźbła słomy rosnące wysoko przy skałach, zbierał suche liście, pozostałe od ubiegłej jesieni, zawieszane w gęstwinie krzaków albo zawiane w skalne szczeliny, i gromadził to wszystko na stertę. Gdy nabierał wystarczająco dużo, zaniósł do dziewczynki i sporządził jej miększe legowisko. Podścielił pod te miejsca ciała, które są zwykle najbardziej bolesne. Następnie wyciął nożem gałęzie, wetknął je w ziemię wokół dziecka, związał ich szpice trawą i sianem i położył jeszcze na górze lekkie konary tak, iż utworzyły dach. Na ciało dziewczynki nałożył gałązek i szerokolistnego zielska, jak podbiał, tworząc rodzaj okrycia. Potem przyniósł sobie jedzenie z pola zmarłego ojca. W nocy rozpalil ognisko ze zniesionych drewien i próchna. I tak za dnia siedział przy nieprzytomnym dziecku, strzegł je i ochraniał przed zwierzyną i owadami, nocami palił ognisko. Dziecko jednak nie umarło, ale zaczęło przychodzić do siebie, jego policzki nabrały życia i wyładniały, wargi zaróżowiły się, tracąc bladeżółtą barwę, ono samo otworzyło oczy i spoglądało dookoła. Zaczęło również jeść, jadło poziomki, jakie jeszcze można było znaleźć, jadło maliny, które akurat dojrzewały, jadło miąższ laskowych orzechów, wprawdzie niedojrzały, ale miękki i słodki, jadło wreszcie papkę z pieczonych kartofli i delikatną zawartość ziaren zbóż, a także wszystko to, co przynosił i dawał mu chłopiec; a gdy spało, on wychodził na wzgórze i wspinał się na skałę, aby wypatrywać wokół, szukał też znowu bydła, bo mleko bardzo by się przydało. Ale nie mógł niczego dojrzeć i nie znalazł także zwierząt. Ponieważ dziewczynka była już silniejsza i mogła się ruszać, zabrał ją w pewne miejsce, gdzie osłonę stanowiły zwieszające się gałęzie, ale że obawiał się burzy i deszczu, który mógł padać, wyszukał suchą pieczarę, tam zrobił legowisko i sprowadził dziewczynkę. Powyżej znajdowała się skalna platforma, skąd mieli dobry widok na las. Mówilem ci, że ta choroba była bardzo ciężka, że

ludzie umierali w przeciągu pięciu, sześciu godzin; ale wspomniałem też, że jeśli ktoś przetrzymał chorobę, zdrowiał szybko, tylko przez długi czas był słaby i wymagał pielęgnowania. Dzieci przebywały teraz w pieczarze, a chłopiec odżywiał dziewczynkę i dbał o nią, dostarczając wszystkiego, czego potrzebowała. Teraz też opowiedziała mu, jak przybyła do lasu. Gdy zbliżała się epidemia, jej rodzice wraz z wieloma innymi ludźmi opuścili swoje dalekie, ojczyste strony, aby szukać wyżej położonych miejsc, gdzie by ich nie dotknęło nieszczęście. W wielkim lesie zabłądzili, ojciec i matka umarli i dziewczynka została sama. Gdzie zmarli ojciec i matka, gdzie udali się pozostali, jak ona sama znalazła się w ożynach, tego nie wiedziała. Nie potrafiła także powiedzieć, gdzie są jej rodzinne strony. Chłopiec też jej opowiedział, jak jego rodzina opuściła chaty, jak udali się do lasu i jak wszyscy poumierali, a on został sam. Tak tedy, widzisz, dzieci przesiadywały w schronieniu, gdy nad lasem przechodził dzień i rozświeślał zieleń, śpiewały ptaki, błyszczały drzewa, a szczyty gór jaśniały; drzemały zaś, gdy zapadła noc pełna ciemności, ciszy lub odgłosów dzikich zwierząt, albo noc jasna od światła, jakie z nieba na wierzchołki drzew zlewał księżyc. Możesz to sobie wyobrazić, jeśli spojrzysz, jak tutaj, choć dawno już jesteśmy wśród domów, wygląda noc, jak groźnie księżyc za chmurami oświetla czarne jarzębiny naszego sąsiada”.

W trakcie gdy dziadek opowiadał, przeszliśmy polami i łąkami obok miejsca, gdzie znajduje się źródelko Behringer, przekroczyliśmy kamienny mur i po miękkiej murawie podchodziliśmy do domów Oberplan. W tym czasie zapadła już zupełna noc, na niebie widniał półksiężyc, rozświetlając wielkie gromady obłoków, a jego promienie padały dokładnie na krzewy jarzębin w ogrodzie naszego sąsiada.

„Gdy dziewczynka doszła już do sił”, ciągnął dziadek, „dzieci postanowiły wyjść z lasu. Naradzały się, jak to zrobić. Dziewczynka nie miała pojęcia; chłopiec jednak zauważył, że wszystkie wody spływają w dół, płynąc dalej i dalej bez końca, pomyślał, że las leży bardzo wysoko, a ludzkie siedziby całkiem nisko, że przy jego domu płynęła szeroka wartka woda, i że od tego domu zaczęli się wspinać do lasu, wchodząc coraz wyżej i wyżej; jeśliby więc schodzić stale wzdłuż płynących strumyków w dół, to musi się wyjść z lasu i dotrzeć do ludzi. Dziewczynka przystała na to z radością i zdecydowali się tak uczynić. Przygotowali się do podróży z powrotem. Zbrali tak dużo kartofli z pola, ile mogli unieść, i dużo powiązanych pęków kłosów. Chłopiec zrobił ze swej kurtki torbę, a na poziomki i maliny sporządził piękne koszycki z brzoźowego łyka. Potem wyruszyli. Najpierw odszukali w dolinie strumień, z którego pili wodę, i poszli wzdłuż niego. Widzisz, chłopiec wiódł dziewczynkę, która była słaba, bo był w lesie bardziej doświadczony; pokazywał kamienie, po których ma iść, ostrzegał przed kolcami i spiczastymi gałęziami, by je omijała, prowadził ją przez wąskie przejścia, a gdy pojawiały się duże skały, gąszcze albo bagna, skręcali i kierowali się zawsze roztropnie w stronę strumienia. Tak posuwali się naprzód. Kiedy byli zmę-

czeni, przysiadali i odpoczywali, a kiedy wypoczęli, szli dalej. Popołudniami chłopiec rozpałał ognisko i piekli kartofle oraz podpiekali sobie kłosa zbóż. Wody szukał w źródelkach albo w wątlym, chłodnym strumyczku, który przez biały piasek wypływał z leśnej ziemi, wśród zarośli czy kamieni. Gdy napotykali miejsca, gdzie były orzechy i poziomki, zbierali je. Nocami chłopiec rozpałał ognisko, przygotował dziewczynce legowisko, a sam modlił się, jak zwykł to czynić od pierwszych dni w lesie. Tak wędrowali dalej. Mijali wiele drzew, jodły ze zwisającymi brodami z mchu, złamane świerki, długoramienne klony, buki o biało cętkowanych pniach i jasnozielonych liściach, mijali po drodze kwiaty, rośliny i kamienie, szli ze śpiewem ptaków, szli obok skaczącej wiewiórki i pasącej się sarny. Strumień zakręcał wokół pagórka, płynął prosto, albo wił się między pniami drzew. Ciągłe rósł i wzbierał, niezliczone strugi spływały z poboczy dolin, wpadały doń krople ściekające z liści drzew i traw i płynęły razem. Strumyk szemrał w żwirze, jakby szeptał coś dzieciom. Zaczęły się też pojawiać inne drzewa, po których poznały, że docierają w niższe okolice; ustąpiły szpiczaste jodły, świerki o chropawej korze, klony o wielkich gałęziach i przysadziste buki, a pojawiły się drzewa mniejsze, świeższe, bogatsze i delikatniejsze. Nad strumieniem stały olchy i liczne wierzby, dzika jabłoń ukazała swoje owoce i leśna czereśnia obdarzyła je małymi czarnymi słodkimi gronami. Pokazały się łąki i pastwiska, drzewa stopniowo zaczęły się przerzedzać, występowały teraz już tylko w kępach, i wreszcie pewnego razu, gdy strumień płynął już jako szeroka, spokojna woda, dzieci ujrzały pola i ludzkie domostwa. Wydały okrzyk radości i zbliżyły się do jednego z domów. Nie były to strony rodzinne chłopca, dzieci nie wiedziały, gdzie wyszły, ale zostały życzliwie przyjęte i otoczone opieką. Tymczasem z Hausbergu wzniosła się w południe kolumna dymu, utrzymywała się przez godzinę i znikła. Powtarzało się to cztery dni z rzędu, każdego dnia o godzinę później: ale nie było nikogo, kto by ten znak odebrał”.

Gdy dziadek mówił te słowa, podeszliśmy pod nasz dom.

„Ponieważ zdrożyliśmy się”, powiedział, „a jest tak ciepło, przysiadźmy na chwilę na kamieniu, skończę opowiadać”.

Usiedliśmy na kamieniu i dziadek ciągnął dalej: „Gdy dowiedziano się, kim jest chłopiec i skąd pochodzi, zabrano go razem z dziewczynką do chaty stryja smolarza. Stryj udał się w górę lasu i spalił ze zgrozą leśną chatę, gdzie leżeli martwy smolarz i jego żona. Także krewni dziewczynki wywieźli się o miejscu jej pobytu i odebrali ją z chaty smolarza. Widzisz więc, że w tych czasach dżuma wybuchła także w innych częściach kraju i umarło na nią wielu ludzi; ale nadeszły nowe dni, a wraz z nimi powróciło w nasze strony zdrowie. Chłopiec pozostał teraz przy wuju w jego chacie, dorastał tam i razem zajmowali się smolnym rzemiosłem, wytapiając smar do wozów, terpentynę i wiele innych rzeczy. Gdy minęło wiele lat, gdy chłopiec stał się już niemal mężczyzną, przed chatą smolarza zajechał pewnego razu powozik. Siedziała w nim piękna panna, ubrana w białą sukienkę

i czarny płaszczyk, z pękiem ożyn na piersi. Miała policzki, oczy i delikatne włosy owej dziewczynki z lasu. Przybyła zobaczyć chłopca, który ją uratował i wyprowadził z lasu. Razem z towarzyszącym jej starym krewnym poprosiła młodzieńca, by zechciał udać się z nimi do pałacu i tam zamieszkać. Młodzieniec, który naprawdę pokochał dziewczynkę, poszedł za nią. Uczył się rozmaitych rzeczy, stawał się coraz mądrzejszy, aż został wreszcie mężem dziewczynki, którą znalazł podczas zarazy w lesie. I widzisz, dostał pałac, pola, łąki, lasy, majątek i służbę, a tak jak już w młodości był pojętym i ciekawym, tak teraz pomnożył i ulepszył wszystko i cieszył się szacunkiem i miłością poddanych, sąsiadów, przyjaciół oraz własnej żony. Umarł jako wybitny człowiek, szanowany w całym kraju. Jakże różne bywają ludzkie losy! Swojego stryja zapraszał często w gościnę, ten jednak pozostał smolarzem i dalej uprawiał w swojej chacie smolne rzemiosło, a gdy las ciągle małał i małał, gdy pola i łąki podeszły aż pod jego dom, przeniósł się głębiej w teren zadrzewiony i tam nadal wytapiał smary. Jego potomkowie pozostali przy tym samym zajęciu; z nich właśnie wywodzi się stary Andreas, który także jest rozwodzicielem smaru do wozów i nie umie nic więcej, jak tylko jeździć ze swoją czarną beczką po kraju i smarować stopy nieroztropnym chłopcom, niewiele mądrzejszym od niego”.

Tymi słowami zakończył dziadek swoją opowieść. Siedzieliśmy nadal na kamieniu. Księżyc świecił coraz jaśniej i jaśniej, obłoki rozpościerały się coraz szerzej i szerzej, a ja ciągle spoglądałem na czarny krzew jarzębiny u sąsiada.

Wtedy zza drzwi wytknęła głowę babka, pytając, czy chcemy coś zjeść. Przeszliśmy więc do izby dziadków, babka opuściła ozdobny, wiszący przy ścianie stoliczek ze śliwkowego drzewa w brązowo-białe smugi, nakryła go białym płótnem, i rozłożywszy talerze i sztuce podała nam kurę z ryżem. Gdy jedliśmy, z gniewną miną powiedziała, że dziadek jest jeszcze głupszy i bardziej lekkomyślny od wnuka, bo do zmywania smaru wziął zielono emaliowaną misę i nikt jej teraz nie będzie z obrzydzenia więcej używał.

Dziadek odparł z uśmiechem: „To ją stłuczemy, żeby jej nikt przez nieuwagę nie wziął, i kupimy nową; tak przecież lepiej, niż gdyby szelma miał się ciągle bać. Przecież sama też się o niego zatroszczyłaś”.

Mówiąc to wskazał w kierunku pieca, gdzie w małej wanience mokły moje zasmolone spodenki.

Po skończonym jedzeniu dziadek powiedział, że powinienem już iść spać i sam odprowadził mnie do sypialni. Gdy przechodziliśmy przez sień, w której wymierzono mi karę, młode jaskółki cicho świegotały przez sen w swoim gnieździe, w dużej izbie paliła się na stoliku lampka, którą w sobotę zapalano zawsze na całą noc ku czci Najświętszej Pani, a w sypialni rodziców w łóżku leżał ojciec i jak zwykle czytał przy świetle; matki nie było w domu, pielęgnowała chorą krewną. Pozdrowiwszy ojca i otrzymawszy jego przyjazną odpowiedź, weszliśmy do dziecięcej sypialni. Siostra i mali bracia już spali. Dziadek pomógł mi się rozebrać i pozostał przy

mnie, dopóki nie zmówiłem pacierza i nie przykryłem się kołdrą. Potem odszedł. Ale długo nie mogłem zasnąć, ciągle myślałem o historii, którą mi opowiedział, rozważając różne okoliczności, i przyszło mi na myśl, że muszę dopytać o pewne rzeczy. Wreszcie zmęczenie wzięło górę i senność skleiła mi powieki. Gdy pozostawałem jeszcze w półśnie, w blasku światła, które wpadało z sypialni rodziców, zobaczyłem wchodzącą matkę, nie byłem jednak w stanie całkiem się przebudzić. Podeszła do naczynia z wodą święconą, zwilżyła palce, zbliżyła się, spryskała mnie i nakreśliła mi krzyż na czole, ustach i piersi; poznałem po tym, że już mi wszystko wybaczone, i nagle usnąłem, jakby w szczęściu i radości pojednania.

Ale pierwszy sen nie był wcale spokojny. Wiele rzeczy zjawilo się przy mnie, martwi, umierający, zadżumieni, potrójne sosny, leśny upiór, wieśniak Macht, jarzębina sąsiada, a stary Andreas znowu smarował mi stopy. Później jednak sen musiał być dobry; bo gdy mnie obudzono, przez okna wpadało słońce, była uroczą niedzielą i wszystko wyglądało odświeżenie, po modlitwie dostaliśmy świąteczne śniadanie i ubrania, a gdy wyszedłem na uliczkę, wszystko było czyste, świeże i przejrzyste, nocne maskary się rozwiały, a jarzębina u sąsiada nie była w połowie tak wielka jak wczoraj. Dostaliśmy modlitewniki i poszliśmy do kościoła, gdzie widzieliśmy ojca i dziadka, siedzących w swoich ławkach.

Od tego czasu minęło wiele lat, kamień ciągle spoczywa przed rodzinnym domem, ale teraz bawią się na nim dzieci siostry i przysiadła tam może leciwa staruszka, spoglądając w dalekie strony świata, gdzie rozproszyli się jej synowie.

Jakiegokolwiek dziwne rzeczy nie działyby się na świecie, całą opowieść dziadka pamiętam ciągle bardzo dobrze, już tak długie lata, a gdy mowa o pięknej dziewczynce, zawsze widzę delikatne włosy tamtego dziecka w lesie. Nie pamiętam zaś wcale, czy plamy po smole, od których wszystko się zaczęło, wyszorowano czy też zheblowano; i choć często, wybierając się w odwiedzinę do domu, zamierzam o to zapytać matkę, za każdym razem zapominam to uczynić.

przeł. Aneta Mazur

Bibliografia

- Martini Fritz, *Adalbert Stifter*, w: tegoż, *Deutsche Literatur im bürgerlichen Realismus 1848–1898*, Stuttgart 1981.
- Mayer Mathias, *Adalbert Stifter. Erzählen als Erkennen*, Stuttgart 2001.
- Mazur Aneta, *Anatomia „łagodnego prawa” – między literaturą a filozofią*, „Przegląd Filozoficzno-Literacki” 2009, nr 2.

- Roedl Urban, *Stifter mit Selbstzeugnissen und Bilddokumenten dargestellt*, Reinbek bei Hamburg 1994.
- Schoenborn Peter, *Adalbert Stifter. Sein Leben und Werk*, Tübingen 1992.
- Sichelschmidt Gustav, *Adalbert Stifter. Leben und Werk*, München 1988.
- Stifter Adalbert, *Sämtliche Erzählungen nach den Erstdrucken*, hg. W. Matz, München 2005.
- Stifter Adalbert, *Werke und Briefe. Historisch-kritische Gesamtausgabe*, hg. v. Alfred Doppler, Wolfgang Frühwald, Bd. 2,2: *Bunte Steine. Buchfassungen*, hg. v. Helmut Bergner, Stuttgart–Berlin–Köln–Mainz 1982.
- Swales Martin, Erica, *Adalbert Stifter. A critical Study*, Cambridge 1984.